

TROPEM TAJEMNIC

cz. II

Albrecht wędrował po różnych krajach. Podróż ułatwiała rozchodząca się sława Zakonu Krzyżackiego, któremu darowano ziemię i przywileje w różnych zakątkach Europy. Los skierował go z Ziemi Świętej najpierw na spaloną słońcem Sycylię. Długo tam nie zagrzał miejsca, ponieważ Wielki Mistrz zwietrzył świetną okazję, żeby osiedlić się na Węgrzech. Takie to były burzliwe czasy, że ludzie w XIII wieku, nie znając dobrodziejstw współczesnej techniki, podróżowali częściej i dalej niż wielu ze współcześnie żyjących.

Albrecht nie przypuszczał, że człowiek może tak silnie przywiązać się do rzeczy materialnej. Wiedział, że popełnia grzech tak ubóstwiając przedmiot, ale nie czuł się winny. Wręcz przeciwnie, był dumny z tego, że to właśnie jemu przypadła rola powiernika tajemnicy. Mimo że zdawał sobie sprawę, że jego obowiązkiem było podzielić się z przełożonymi tym sekretem (wszak ślubował im wierność), nie ufał im, nie ufał nikomu. Czasami zastanawiał się, czy sam sobie może ufać. Czy przypadkiem nie mieszka wewnątrz jego ciała jeszcze ktoś inny, ktoś, kto chciałby go zdradzić i zagarnąć kielich.

Po przybyciu na Węgry nie miał zbyt wiele czasu na to, by się tam zadomowić. Szczodry król Andrzej II przyznał Zakonowi liczne ziemie, ale za cenę zależności lenne, co było nie w smak ambitnym braciom spod znaku czarnego krzyża. Nie dziwi zatem, że jako „wybawca” potraktowany został książę kujawsko-mazowiecki Konrad. Jego księstwo leżało wówczas na peryferiach znanej Europy, dokładnie tam, gdzie kończyło się chrześcijaństwo. W 1226 roku Konrad zaprosił Zakon na swe ziemie. Pragnął, by rycerze zakonni ogniem i mieczem, nawrócili pogańskie plemiona Prusów, z którymi nie mógł sobie poradzić. Krzyżacy tylko na to czekali. Mogli teraz pod przykrywką misji chrystianizacyjnej budować swoje imperium. Albrecht stał na uboczu wielkiej polityki, nie interesował się nią w ogóle. On, maluczki, nie miał wpływu na nic, ale myśl o tym, że w Europie żyją jeszcze ludy, które nie poznały słowa Pana i jego zelektryzowała.

Nie znamy zbyt wielu szczegółów z życia Albrechta. Mało wiemy o tym, co myślał, i czego pragnął. Jeszcze mniej wiemy o samym kielichu, czemu się dziwić nie można, bo

każdy, kto go posiadał, przysięgał strzec jego tajemnic. Wiadomo, że Albrecht zmarł na zamku w Malborku. Ponoć u kresu swego życia powtarzał niezrozumiałe nikomu ciągi słów. Uznano, że wraz z wiekiem popadał w obłąd. Bracia zakonnicy, obawiając się, że jakieś siły plugawe mogły zagnieździć się w ciele Albrechta, postanowili go odizolować. Skrępowali go i siłą zamknęli w ciasnej komnacie, odebrawszy mu wszystko, co posiadał.

Nocami był przeraźliwie i złorzeczył swym kompanom, ale nikt go już nie słyszał. Z każdym tygodniem gasło w nim życie, aż zmarł w zupełnym zapomnieniu. Co z kielichem? Albrecht zdawał sobie sprawę, że jego umysł nie jest już tak bystry jak kiedyś. Jeszcze zanim na trwałe upadł na zdrowiu psychicznym, postanowił zabezpieczyć artefakt. Musiał go jakoś ochronić. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie ukrycie go na widoku. Wziął więc kielich i udał się z nim do jednej z zamkowych kaplic. Tam ofiarował go jako wotum w podziękę za swe pobożne życie ojcu altarzyście, opiekującemu się ołtarzem Aniołów Stróżów. Był z siebie dumny. Nikt już nie zdoła przywłaszczyć sobie kielicha. Będzie po kres czasu przypisany do tego ołtarza i nikt nie pozna jego sekretu, który za chwilę zabierze do grobu. Tak. Teraz mógł umrzeć.

Pogorzela 1466-1661

Wojna trwała długo. O wiele za długo, jak na życie jednego człowieka. Sam nie wie jak wytrwał taki okres. Być może dlatego, że wojna, trwając 13 lat, stała się jego codziennością, czymś powszednim, wręcz koniecznym jak śniadanie czy modlitwa. Oswoił się z czymś, co z pozoru oswojalne nie jest. Człowiek to fascynujące zwierzę, potrafi dostosować się do każdego warunków, nauczyć się w nich żyć, a później zacząć traktować jako część naturalnego środowiska. Jan z Pogorzeli już dawno przystosował się do wojennej rzeczywistości. Wraz z bratem wyruszył walczyć z Zakonem. Brata już nie ma, ale on żyje. Nie żałował tego, co powiedział Maciejowi wtedy pod murami Malborka. Zresztą, czy to teraz ważne? To było dawno. W innej epoce i nawet nie był pewien, czy wydarzyło się faktycznie. A może pamięć starego weterana płatała mu figle, podsuwając obrazy, w które chciał wierzyć. W każdym razie misję wykonał.

Z Pogorzeli pod stolicę państwa zakonnego wyruszyło czterech zbrojnych. Powrócił tylko jeden, zupełnie odmieniony. Miejsce energicznego i przystojnego rycerza zajął zgorzkniały i przygarbiony mężczyzna, cierpiący na bóle reumatyczne. Bystre spojrzenie stępiało, stało się mętne jak staw, w którym ktoś wzburzył piaszczyste podłoże.

Najważniejsze jednak, że udało mu się wykonać misję. Dokonał czegoś, czego nie potrafili zrobić jego przodkowie.

Jego powrót nie był spektakularny. Nikt nie witał go fanfarami, a część mieszkańców nawet go już nie pamiętała. Ot, nastoletni chłystek przed 13 laty wyruszył na wojnę do dalekiego kraju, z jakimś legendarnym wrogiem. Wielu z tych, którzy żegnali go przed wyjazdem już nie żyło, a ci, którzy byli dziećmi, stali się już dorosłymi ludźmi.

Towarzyszył mu chłopiec – pamiątka po bracie. To była ostatnia przysługa, jaką mu wyświadczył. Zresztą i tak nie mógłby postąpić inaczej. Z Maciejem nie utrzymywał kontaktów, ale jako starszy brat wiedział niemal wszystko o jego poczynaniach. Niemało go to kosztowało. Utrzymanie sieci informatorów kosztowało. Utracił nie tylko brzęczącą monetę, lecz również dużo nerwów, wysłuchując opowieści o wyczynach brata. Po kłótni pod murami zamku Maciej całkiem zatracił poczucie rzeczywistości. Zapomniał, kim jest i z jakiego rodu pochodzi. Nie doczekał końca oblężenia. Tydzień po sprzeczce ulotnił się, okrywając się hańbą niegodną rycerza. Zawróciła mu w głowie obozowa dziewczka. Fakt, była urodziwa, miała pogodne oblicze, ale statusem była równa służbie. Zadzurzył się w niej po uszy. Uciekli razem. Być może chcieli zrobić wszystkim na złość, pokazując, że są wolni i za nic im herby i statusy społeczne. Za resztę pieniędzy, którą miał, kupił chałupę i kawałek ziemi gdzieś na odludziu. Żyło im się nawet nieźle. Maciej zapomniał o swych korzeniach i zajął się handlem. Radził sobie raz lepiej, raz gorzej, ale zapewniał byt rodzinie, która powiększała się szybko. Najpierw urodziła im się córka, następnie syn, potem znów kolejne dwie córki. Niestety jedna zmarła kilka miesięcy po narodzinach.

Wojna jest okrutnym zjawiskiem. Nie rozpoznaje płci, nie obchodzi jej, kto jest swój, a kto obcy. Dysponuje całym arsenałem broni, przed którymi nie ma obrony, bo jak tu się bronić przed czymś, czego nie widać? Zaraza jest cicha, skrada się bezszelestnie. Czeka sobie spokojnie na progach domów, aż ktoś ją nieopatrznie wpuści, wtedy zadomawia się, częstując domowników śmiernicobójnym „specjałem”. Maciej przywlekł zarazę z miasta. Nie zdawał sobie sprawy, że się zaraził, przecież wjechał tam tylko na chwilę. Załatwił swoje sprawy i wrócił. To wystarczyło. Choroba „zaprzyjaźniła się” z nim, wniknęła w jego ciało i zadomowiła w nim na dobre. Śmiertelne prątki rozwijały się, niszczyły jego komórki, a z czasem zaczęły wychodzić poza jego ciało, wnikając w domowników. Umarł jako pierwszy, a zaraz po nim córka. Jego żona, choć wiedziała, że za chwilę i na nią przyjdzie pora, zdołała

jeszcze ich pochować. Dzieci odchodziły na jej oczach. Także ostatnia córka zamknęła na zawsze powieki. Został jej już tylko syn.

Kolejnego dnia kostucha upomniała się i o nią. Chłopiec płakał długo. Próbował obudzić matkę, ale śmierć była niewzruszona wobec jego błagań. W pewnym momencie z hukiem otworzyły się drzwi. Potężnie zbudowany mężczyzna w koleczudze wparował do środka, wziął chłopca pod pachę i wybiegł na zewnątrz. Chałupę podpalił, a jego przerzucił przez grzbiet konia i ruszył traktem, którym nadjechał.

Powrót do rodzimego miasta był dziwny. Pogorzela zmieniła się. Wydawało mu się, że inaczej ją zapamiętał, a może to tylko pamięć płatała mu figle. Chłopiec w chwili zakończenia wojny miał 7 lat. Jan nie miał zamiaru wyjawić mu, kim był jego ojciec, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Póki co wytłumaczył mu, że kiedy jechał drogą, przy której mieszkali, zauważył ich dom. Postanowił skorzystać z okazji i poprosić gospodarza, żeby napił mu konia, dał obrok. Gdy zbliżył się do drzwi, usłyszał głośnie zawrota chłopca. Postanowił sprawdzić, co się dzieje. Kiedy ujrzał martwą matkę, uświadomił sobie, że w okolicy grasuje zaraza. Mimo że mógł się od niego zarazić, wziął go ze sobą, nie zważając na ryzyko. Rodzinie wyjaśnił, że Maciej zginął pod murami Malborka w 1458 roku. W zasadzie nie kłamał, bo dla Jana był on już wówczas martwy. Wersja brzmiała na tyle wiarygodnie, że nie obawiał się, że ktoś może dopytywać go o szczegóły.

Chłopiec usługiwał mu na dworze w Pogorzeli. W zamian Jan uczył go czytać i pisać. Cieszył się wyższym statusem niż reszta służby, co rzecz jasna podsycalo plotki o tym, kim on właściwie jest. W mieście szybko zaczęto opowiadać, że to jego nieślubny syn, ale dość szybko uporał się z nadmiarem ludzkiej ciekawości. Kolejne lata upływały spokojnie. Jan ożenił się, spłodził dzieci, a chłopiec wkraczał w dojrzałość. Każdego dnia towarzyszył Janowi, który zaczął wprowadzać go w tajniki zarządzania majątkiem.

Trudy wojny musiały kiedyś się objawić w fizycznej postaci i dopadły Jana, który zaczął podupadać na zdrowiu. Miał problemy z chodzeniem i nie mógł już samodzielnie funkcjonować. Leżąc w swojej komnacie, wezwał do siebie najstarszego z synów. Kazał mu zatrzasnąć za sobą drzwi. Obaj, zamknięci od wewnątrz przed wścibskimi uszami, przez kilka godzin rozmawiali. Jan wyjawiał mu nie tylko prawdę o pochodzeniu chłopca, którego przygarnął, ale zdradził mu, po co w istocie tyle lat temu wyruszył na wojnę. Jego syn poznał

tajemnicę kielicha, ale cena, jaką przyszło mu zapłacić za tę wiedzę, była ogromna. Musiał poprzysiąc ojcu, że będzie strzegł sekretu. Obiecał także, że będzie ukrywał prawdę o chłopcu, a jego synowie, córki i wnuki będą traktowali jego, jak i jego potomków, jak najbliższą rodzinę. Ojciec wymógł na nim, aby wiedza, którą przed chwilą zdobył, pozostała na wieki w rodzinie Pogorzelskich, aby była przekazywana z pokolenia na pokolenie tylko najstarszemu synowi po uzyskaniu wieku męskiego.

Mijały dziesięciolecia. Pogorzela rozwijała się. Pojawiały się nowe budynki, nowe cechy rzemieślnicze. Ród Pogorzelskich raz powiększał swoje majątki, a innym razem ubywało mu ziemi. W 1660 roku sytuacja Pogorzelskich stała się jednak nie do pozazdroszczenia. Stanisław Pogorzelski, będąc już w podeszłym wieku, stał się ostatnim męskim przedstawicielem rodu. Co prawda miał trzech synów, jednak pierwszy zaginął na stepach dalekiej Ukrainy, walcząc z buntownikami Chmielnickiego. Drugi, służąc pod buławą hetmana Czarnieckiego, poległ w bitwie nad Warką, bijąc się ze Szwedami. Trzeci zaś zmarł na suchoty. Miał również córkę, ale i ona wolała powierzyć swe życie Bogu, wstępując do klasztoru Sióstr Klarysek, niż zajmować się przyziemnymi sprawami majątkowymi. W ostatnich latach swojego życia został więc sam. Co z tajemnicą rodu? Co z przysięgą? Co z misją, którą Pogorzelscy mieli do wypełnienia? Długo nad tym myślał. Wiele nocy upłynęło mu na rozważaniach. W końcu doszedł do wniosku, że nie ma wyboru, musi dopuścić do sekretu osoby trzeciej. Wybór padł na jego wiernego sługę Kacpra, który za miesiąc miał ukończyć pełnoletność. Kacper był w pierwszej linii potomkiem chłopca, którego Jan Pogorzelski przed wiekami przywiózł do miasta, wracając z wojny z Zakonem Krzyżackim.

Prawda przeraziła Kacpra. Trudno się dziwić. Życie jakie wiodł dotychczas, nie wyróżniało się niczym szczególnym. Był odpowiedzialny za dworską stajnię i szlachetnej maści konie, aż tu nagle okazało się, że i w jego żyłach płynie błękitna krew, że należy do rodu Pogorzelskich – właścicieli miasta! Chwilowa euforia ustąpiła miejsca gorzkiej prawdzie. Ani on, ani jego potomstwo nie mogli być uznani za równych statusem Pogorzelskim. Nie mógł odziedziczyć po nich majątku, ani ich historii i rodowych tradycji. Stanisław opowiedział mu także o kielichu. Ta część opowieści wydała się młodemu Kacprowi jeszcze bardziej niewiarygodna niż prawda o swoim pochodzeniu. Uwierzył dopiero, kiedy zobaczył tajemniczy artefakt. Padł na kolana i zamasyście się przeżegnał. Potęga kielicha przytłaczała. Dopiero teraz uświadomił sobie, że został wybrany do misji, która splotła się z jego przeznaczeniem.

Zanim umarł Stanisław, ufundował na rynku w Pogorzeli w 1661 roku figurę Matki Boskiej stojącej na postumencie, która z szeroko rozpostartymi ramionami brała w opiekę miasto i mieszkańców. Pomnik ku jej czci był wyjątkowy. Wewnątrz cokołu umieszczono kielich. Własnoręcznie włożył go tam Kacper. Razem ze Stanisławem uznali, że po wygaśnięciu rodu będzie to najbezpieczniejsze miejsce dla tego skarbu. Najpilniej strzeżoną tajemnicę ukryli na widoku, a doglądać jej miał Kacper oraz jego potomkowie.